

ISSN 2084 - 0810

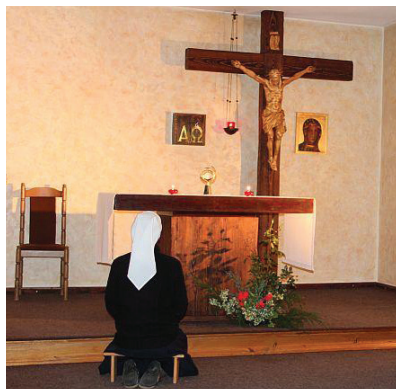
MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 39 wrzesień 2014

PROSTO Z MOSTU

ŚURGA 2, w. 256

SPIS TREŚCI



WYWIAD PROSTO Z MOSTU

21

„BYŁAM ZAKOCHANA. ZACHÓD SŁOŃCA,
WODA I WTEDY PRZYSZŁA TA MYŚL”



16

ZDMUCHNAĆ ZNICZE?

SYLWETKI PIĘKNYCH KOBIET

25

NIE ZAPYTALI, JAK JEJ NA IMIĘ

POZOSTAŁE ARTYKUŁY

4

DEUSY ŚPIEWAJĄ JUŻ 20 LAT.
BĘDIEMY ŚWIĘTOWAĆ W SZCZECINIE

6

WDZIĘCZNOŚĆ

9

CZY CHRZEŚCIJANIN MOŻE MIEĆ JESZCZE
SERCE DLA MUŻULMANINA?

12

SZCZECIN POMORZ(Ż)E ŚWIĘTOŚCI

14

JESTEŚMY CZĄSTKĄ KOŚCIOŁA

POWSZECHNEGO!

19

PATRZEĆ NA SŁABOŚCI JAKO DAR OD BOGA

26

OGRÓD

29

II WOJNA JAKO PRETEKST...

30

MUZYKA LITURGICZNA.

DOWÓD NA TO, ŻE JESTEŚMY

W KOŚCIELE ŻEŃSKO-KATOLICKIM?



33

„WSZYSCY MAMY ŻŁE W GŁOWACH,
ŻE ŻYJEMY”

37

PIESZO PRZEZ EUROPEĘ DO BRUKSELI

Fundamentalizm i fundamentalizm. O co chodzi?

Zastanawiam się, na ile celowo fundamentalizm religijny jest dziś używany w publicznej debacie do określenia dwóch grup ludzi. Tych, którzy bronią zasad swojej wiary, wartości i – według nich –dobrze rozumianej moralności i tych, którzy zabijają w imię, no właśnie, czego?

Kiedy usłyszałem w wielu mediach głównego nurtu o katolickich fundamentalistach broniących prof. Chazana, gdy ten stanął na straży swojego sumienia i nie chciał dopuścić do zabicia dziecka, to od razu zaświeciła mi się czerwona lampka. Komu i dlaczego zależy na tym, aby ludzi, którzy mają zasady i moralność nazywać fundamentalistami? Czy w domyśle ma to oznaczać, że to jakaś rewolucyjna grupa, która wyjdzie na ulicę z pochodniami i zacznie podpalać świat w imię swojej religii? Czy o to chodzi komentatorom, a coraz częściej narratorom życia społecznego?

Dziś coraz głośniej mówi się o fundamentalistach islamskich, którzy dążą do „wyczyszczenia” Iraku czy Syrii z chrześcijan. Czy jednak można o nich mówić fundamentalistami, czy bardziej terroryści?

Musimy uważać na określenia, którymi bombarduje się nas z Internetu, ekranu telewizora czy prasy. Musimy uważać, by nigdy w naszej świadomości lub podświadomości nie pojawił się znak równości pomiędzy tymi, którzy bronią wiary i jej zasad, a tymi, którzy wykorzystując wiarę, dążą do tego, co z zasadami wiary nie ma nic wspólnego.

Piotr Kołodziejski

Idea gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa. Oprócz tematów religijnych młodzi ludzie i duchowni różnych wyznań piszą teksty z pogranicza tematyki społecznej, kulturalnej, sportowej. Cały czas czekamy na kolejnych „ekumenicznych”. Chcesz pisać i dołączyć do Nas? Odezwij się na: ekumeniczni@wp.pl

Autorzy

Paulina Bielecka, Basia Chojnacka, Anna Malec (Warszawa),
Krzysztof Szypowski (Stargard Szczeciński),
Ewa Smutek,
Magdalena Zukowska, Marysia Walas,
Jarosław Kaczmarczyk, Maciej Papke, o. Maciej Biskup OP,
ks. Marcin Sęk TChr (Poznań),
ks. Mariusz Sokołowski SChr (Bochum, Niemcy),
ks. Mariusz Wencławek SDB, ks. Leszek Tokarzewski TChr

Zastępcy redaktora naczelnego

Ewelina Dmitrowicz (Warszawa)
Małgorzata Moraczewska

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejski

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl
konto na facebooku:
<http://www.facebook.com/ekumeniczni>
Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia

Proszę zeskanować kod QR

Skład

Robert Zak
robert.zak@wp.pl

Korekta

Paulina Filutowska

Konsultacja teologiczna parafii rzymskokatolickich:

ks. Lucjan Chronchol

prawosławnej:

ks. Paweł Stefanowski

ewangelicko-augsburskiej:

ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”
www.szczecinska.eu



DEUSY ŚPIEWAJĄ JUŻ 20 LAT. BĘDZIEMY ŚWIĘTOWAĆ W SZCZECINIE

Tekst

Iza Zabłocka „Niedziela Palmowa”

Ogrody, Tobie chór aniołów, Boże, Twa łaska, Święte Imię Jezus, Niechaj zstąpi Duch Twój czy Niech nas ogarnie to piosenki i pieśni kultowe w kanonie muzyki chrześcijańskiej w Polsce. Niewielu wie, że to właśnie szczeciński zespół Deus Meus stworzył bądź nagrał i spopularyzował te i wiele innych utworów, które towarzyszą nam już od 20 lat. Jubileuszowy koncert zespołu odbędzie się w październiku w Szczecinie.

DEUS MEUS to zespół, którego początki sięgają 1994 roku. Jest to jeden z pierwszych profesjonalnych zespołów, który tworzy scenę muzyki chrześcijańskiej w Polsce. W swoim dorobku mają pięć płyt z muzyką uwielbienia, w tym kultowe już *Hej Jezu* czy *Mój Jezus*, *Chwata Barankowi*, *Jahwe* czy najnowsza, wydana w 2012 roku *Wniebowianki*.

Moja przygoda z zespołem zaczęła się od przyjaźni z Tamarką Przybysz (z domu Kasprzyk). Poznałyśmy się w poprzednim stuleciu w Chrześcijańskiej Szkole Dramy Pantomimy i Tańca. Na pewnej sesji okazało się, że obydwie jesteśmy ze Szczecina. Po kilku latach nasza znajomość zakwitła i przyniosła owoc w postaci niezwyklej przyjaźni. Łączyła nas nie tylko szkoła, zainteresowania,

Fot. deusmeus.pl



miejsce zamieszkania, lecz także jedność serc, które pragnęły więcej Boga w naszym życiu, więcej Jego znaczenia w nas, Jego zwycięstw, prawdy i piękna. Poznałyśmy się w szkole, która była ponadwyznaniowa i można tak też powiedzieć o naszej przyjaźni :) Tamarka jest katoliczką, a ja jestem z Kościoła zielonoświątkowego. Tamarka śpiewała w Deus Meus, a ja w zespole uwielbienia, dużo wspólnie modliłyśmy się, dużo razem wyjeżdżałyśmy... były zloty, zjazdy, szkoły i inne miejsca w których budowałyśmy naszą relację z Bogiem i ze sobą nawzajem. Kiedy w 2001 r. Deus Meus pracował nad płytą *Jahwe* i potrzeba było dodatkowych osób do wzmocnienia chóru na nagrania, Tamarka zaprosiła mnie do tego dzieła. Początkowo miałam śpiewać tylko na nagraniach, ale inna była wola Nieba... Przez pierwszych kilka lat trudno mi było utożsamiać się z zespołem, bo czułam się „małym żuczkiem”, który musi jeszcze duuuuużo ćwiczyć swój głos. Wiele razy chciałam zrezygnować (powody były różne), ale za każdym razem Bóg mnie zatrzymywał. Dużo modliłam się o zespół, dostawałam sny prorocze, poświęciłam dużą część mojego życia, służąc Bogu w zespole i wiem, że nie byłoby to możliwe, gdyby to nie było Boże powołanie. Z czasem mój warsztat śpiewaka stał się coraz lepszy, ale odkryłam, że nie tylko talent (i poziom jego rozwinięcia) ma znaczenie, ale Boże drogi i Jego plany dla nas... Deus Meus to Boża droga dla mnie. Dziękuję Bogu za każdą chwilę, kiedy mogłam wraz z moimi przyjaciółmi, stojąc przed Jego Tronem, doświadczać Jego cudownej obecności... jedności... pokoju i radości. Dziękuję za uzdrawiającą miłość i bezwarunkową akceptację, którą dostałam w Deus Meus. Zjedliśmy ze sobą nie beczkę soli i piękne jest to, że kochamy siebie z całych serc. Bóg jest Miłością... Niech nasza przyszłość przyniesie wiele pieśni z Bożego natchnienia i jeszcze więcej Jego miłości, dla nas samych i dla Was kochani!

Fot. deusmeus.pl



W tym roku mija 20 lat odkąd Pan Bóg powołał do istnienia nasz zespół. Będziemy Świętować! Zapraszamy Was na wyjątkowy koncert, który odbędzie się 18 października w Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa, przy pl. Zwycięstwa w Szczecinie, o godz. 20.00.

Usłyszycie na nim nasze „perelki”: *Święte imię Jezus, Tyś jak skała, Tyś jak wzgórze, Jezus Chrystus Panem jest!, Boże Twa łaska, Wniebowianki* i wiele innych utworów. Muzycznie nad całością koncertu czuwa Marcin Pospieszalski, a główny solista to Mietek Szcześniak, więc oprócz nieziemskich doznań dla ducha, będzie też wielka uczta dla ucha.

Bilety: Przeprowadź 25 zł, w dniu koncertu 35 zł. Występują: Mietek Szcześniak, Robert Drężek (LUXTORPEDA), Lidia Pospieszalska, Katarzyna Bogusz (DIKANDA) Kierownictwo muzyczne: Marcin Pospieszalski Bilety można nabyć www.bilety.fm, księgarnie katolickie i sklepiki. Wszelkie informacje są na profilu facebookowym zespołu.

WDZIĘCZNOŚĆ

Tekst
Ks. Sławomir Sikora
parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

Po siedemnastu latach przerwy brałem udział w Tygodniu Ewangelizacyjnym w Dziegielowie koło Cieszyňa. To największa ewangelizacja pod namiotem, którą od kilkudziesięciu lat organizuje Kościół ewangelicko-augsburski. Koncerty, seminaria, wykłady gromadzą codziennie setki ludzi. Bywałem tam jako dziecko, brałem udział jako stały uczestnik, będąc nastolatkiem. Później zaczęły się studia w Warszawie, służba w kościele z dala od rodzinnych stron. Kiedy dostałem propozycję zaangażowania się w tym roku w Dziegielowie, bez wahania zgodziłem się. Moim głównym zadaniem była opieka duszpasterska nad wolontariuszami ze służby technicznej oraz prowadzenie dwóch seminariów. Dla mnie podróż do Dziegielowa była również moją osobistą „pielgrzymką” do miejsca, gdzie doświadczyłem szczególnego działania Boga. Tam zaczęła się moja droga służby ...

„Techniczni” to młodzi ludzie, którzy poświęcają trzy tygodnie swoich wakacji, aby pomóc przy różnych pracach przed, w czasie i po ewangelizacji. Stanowią jedną z wielu grup wolontariuszy (w sumie ponad 200 osób!). Moja rola

polegała na tym, aby „mieć na nich oko”, wspierać ich, pomagać rozwiązywać ewentualne problemy w grupie, a przede wszystkim uświadamiać im, że ich praca jest czymś więcej, niż tylko wysiłkiem fizycznym, ale przede wszystkim jest służbą wobec uczestników ewangelizacji. Przyznam szczerze, że trochę obawiałem się tego zadania. Wiedziałem, że na początku lipca będę już bardzo zmęczony mijającym rokiem szkolnym i nie miałem ochoty na nieprzespane noce. Nie chciało mi się być „złym policjantem”, który musi w nocy pilnować ciszy albo szukać „zagubione owieczki”, które pobłądziły na kwatery dla dziewczyn. Wiedziałem, że „techniczni” nigdy nie byli aniołkami w porównaniu z wolontariuszami pracującymi wśród dzieci, w służbie żywieniowej lub nagłośnieniowej. Byli to często młodzi chłopcy, którzy po prostu lubili wysiłek fizyczny. Tymczasem ...

Dobrze być czasem zaskoczonym. Pozytywnie zaskoczonym. Niedziela. Dla mnie pierwszy wieczór. Przyjeżdżam do Dzięgielowa prosto ze Spotkania Chrześcijan Europy Środkowo-Wschodniej we Wrocławiu, gdzie również byłem zaangażowany w seminaria i nabożeństwo. Po wieczornym spotkaniu zapoznawczo-rozpoznawczym przychodzi czas powiedzieć sobie „dobranoc”. Jeden ze starszych wolontariuszy bierze mnie na bok i ustalamy, że ja jestem dla nich duszpasterzem, a on jest wymagającym ich przełożonym. To on pilnuje, aby wszyscy chłopcy byli na czas w swoich łóżkach. Miła niespodzianka. Z resztą od początku robi na mnie wrażenie ich odpowiedzialne podejście do swoich obowiązków. Wiedzą, że muszą się wyspać, bo inaczej jutro mogą nie wytrzymać wysiłku, a nie wiadomo, co przyniesie nowy dzień. Może deszcz?

Od pierwszego dnia zacząłem przyglądać się uważnie ich pracy. Pobudka ok. 7.00. Kiedy ja wracałem o tej godzinie z porannego biegu, dziewczyny już sprzątały toalety i łazienki. Chłopcy jeszcze przed śniadaniem otwierali boczne burty namiotów, w których prowadzone były zajęcia dla dzieci, seminaria i inne zajęcia. I tak właściwie od rana do późnego wieczora na nogach. Powiem szczerze, że im lepiej zapoznawałem się z ilością ich obowiązków, tym bardziej było mi wstyd. Dlaczego? Kiedy bywałem stałym uczestnikiem ewangelizacji, miałem swoich „idoli”. Wpatrzony byłem w głównego mówcę. Był to wtedy zwykle ewangelista ze Stanów Zjednoczonych, który zachwycał płomienną mową. Nawet tłumacz był dla mnie bohaterem. Ja „wychowywany na języku rosyjskim” nie rozumiałem ani słowa „języka zachodu”. No i perkusista! Od najmłodszych lat zachwycał mnie ten instrument, więc zawsze siadałem tak, aby widzieć każdy ruch rąk i nóg muzyka. A służba techniczna? Nie, ludzie w zielonych kamizelkach nie byli moimi bohaterami. Wydawało mi się, że ciągle zawalają swoją robotę. Toalety są prawie zawsze brudne, na parkingach samochody można było ustawiać wydajniej, a boczne burty dużego namiotu, gdzie odbywały się główne ewangelizacje otwierane były lub zamykane

(w zależności od zmiany pogody) za późno. Nie zastanawiałem się nad tym, jakie prace zostały przez „technicznych” wykonane prawidłowo, ile zadawali sobie codziennie trudu, abym miał się w Dziegielowie dobrze. Teraz po latach będąc ich duszpasterzem, spojrzałem na ich służbę z wdzięcznością, szacunkiem i wyrozumiałością. Kiedyś grupę „technicznych” stanowiło ok. 40 chłopaków i 20 dziewczyn. Dzisiaj jest ich o połowę mniej, a pracy im wcale nie ubyło. Dlaczego łazienki bywają czasem brudne? Bo uczestnicy ewangelizacji bagatelizowali tabliczkę „proszę nie wchodzić, świeżo myte”. Kilka chwil po wycieraniu znów było brudno, ale czy to wina wolontariuszy? Jednej nocy obudziła mnie ulewa. W tej samej chwili usłyszałem na korytarzu moich podopiecznych, gotowych do zabezpieczania namiotów przed podtopieniami. Imponujące!

Chciałbym, abyśmy uczestnicząc w różnych „imprezach” parafialno-kościelnych, najpierw zadali sobie trud dostrzeżenia gigantycznej pracy, którą ktoś dla nas wykonał, aby przygotować dane spotkanie jak najlepiej. To naprawdę często ogromna praca organizacyjna, wykonywana jak najmniejszymi kosztami. Bywa tak, że „główny organizator” jest odpowiedzialny za mnóstwo detali i choć próbuje wszystkiego przypilnować, zawsze będą jakieś niedociągnięcia. Dobrze jest oczywiście korygować wszelkie mankamenty, wyciągać wnioski tak, aby następnym razem było lepiej.

Okazywanie wdzięczności nie jest jednak potrzebne tylko organizatorom. Wielu nie oczekuje już zbyt wiele. Przyzwyczaili się do tego, że mają jak najlepiej wykonać swoje zadanie, włożyć w swoją służbę dużo zaangażowania, siły i miłości. Satysfakcja ze zrobienia czegoś pożytecznego jest wystarczająca. Wiedzą, że wielu wróci do domów zadowolonych i bogatszych o duchowe wartości, a malkontenci są wszędzie i ich się raczej nie da w pełni zadowolić. To oni sami siebie unieszczęśliwiają. Koncentrując swoją uwagę na tym, co nie zostało do końca wykonane perfekcyjnie, zabierają sobie samym radość z uczestniczenia w czymś wartościowym. Wiecznie niezadowoleni w końcu bywają ignorowani, powszechnie wiadomo, że oni są „na nie”. Wdzięcznych, aczkolwiek konstruktywnie podpowiadających słucha się z uwagą.

Wróciłem z Dziegielowa bogatszy o nowe doświadczenia. Jestem za nie wdzięczny. Za służbę tych młodych, wspaniałych ludzi. Za moją osobistą „pielgrzymkę” również, ale to już przy innej okazji ...

CZY CHRZEŚCIJANIN MOŻE MIEĆ JESZCZE SERCE DLA MUZUŁMANINA?

Tekst

o. Maciej Biskup OP

przeor klasztoru dominikanów w Szczecinie

Pewna moja znajoma znana jest z wyraźnego sceptycyzmu wobec posoborowego otwarcia się Kościoła katolickiego m.in. na dialog międzyreligijny. Nawiązując do ostatnich wydarzeń w Iraku, z ironią zasugerowała, by w ramach obchodów Dnia Islamu w Kościele Katolickim w Polsce wyświeślać w kościołach relacje z masowych prześladowań chrześcijan na Bliskim Wschodzie.

To oczywiście, że nie można uprawiać dialogu, zbywając kłopotliwym milczeniem, prześladowania chrześcijan na Bliskim Wschodzie – chociażby fakt, że z liczby ok. 1,5 miliona chrześcijan żyjących jeszcze przeszło 10 lat temu w Iraku, dzisiaj pozostało ich jedynie ponad 100 tys. Chrześcijanie w krajach Zachodu powinni w tej sprawie, w przestrzeni społecznej i politycznej, reagować aktywnie. Papież Franciszek otwarty na dialog, nie omieszkał stanowczo wezwać duchowych przywódców Islamu do potępienia działań dżihadystów z Państwa Islamskiego. Na apel odpowiedzieli polscy Tatarzy, którzy wraz z chrześcijanami i żydami, uczestniczyli niedawno w warszawskim

Fontanna do rytualnych ablucji we wnętrzu meczetu Al-Hazar w Kairze. Fot. Robert Żak



marszu solidarności z prześladowanymi chrześcijanami. Na marginesie, nie zapominajmy, że dżihadyci wywodzący się z sunnickiego nurtu Islamu, prześladują także muzułmanów szyitów oraz jazydów.

Wygodnym uproszczeniem jest każda próba uznania islamskiego terroryzmu, w wydaniu Al-Kaidy czy twórców Państwa Islamskiego, za jedyną twarz islamu. Sam Koran uczy: „najbliżsi, przez swoją przyjaźń, tym, którzy wierzą, są ci, którzy mówią: My jesteśmy chrześcijanami” (Koran, SuraV, 82). Przypomina o tym, w adhortacji *Evangelii Gaudium* (p. 253), papież Franciszek: „Wobec budzących nasze obawy epizodów uciekającego się do przemocy fundamentalizmu, serdeczne uczucie wobec autentycznych wierzących islamskich powinno prowadzić nas do unikania wrogich uogólnień, ponieważ prawdziwy islam i poprawna interpretacja Koranu sprzeciwiają się wszelkiej przemocy”.

Nie wolo nam także utracić niełatwej logiki Ewangelii, która za każdym razem wzywa do przebaczenia. Poruszające jest świadectwo uzdrowienia z lęku i niechęci do muzułmanów Leokadii Głogowskiej, która przeżyła atak World Trade Center w 2001 roku: „W parę tygodni po zamachu poszłam do dentysty. W poczekalni, w której byli sami biali, siedziała ubrana w chustę muzułmanka; miała jedynie odsłoniętą twarz. Zauważyłam, że właściwie wszyscy patrzyli na nią z niezadowoleniem. Muzułmanka miała niesamowicie wystraszone oczy i głowę spuszczoną w dół, tak jakby się bała całej tej grupy, która tak pogardliwie ją traktowała. W pewnym momencie coś się we mnie otworzyło – zrobiło mi się jej żal. Pomyślałam sobie, że najprawdopodobniej jako człowiek nie ma ona nic wspólnego z atakiem, a jest traktowana w taki sposób, jakby sama była zamachowcem. Kiedy podniosła oczy, spojrzałam na nią z uśmiechem, a ona wtedy również się uśmiechnęła do mnie. Ten uśmiech był pierwszym krokiem, który uczyniłam na drodze przebaczenia. Wróciła do mnie wiara. Zaczęłam modlić się za muzułmanów i wtedy na nowo wstąpił w moje serce pokój”.

Ludzie Boga to ekranizacja historii przyjaznej koegzystencji katolickich trapistów w Tibhirine, w Algierii z miejscową ludnością muzułmańską. Kończy się ona śmiercią zakonników, która przyszła z zewnątrz, ze strony islamskiego fundamentalizmu. Ci, którzy ocaleli, postanawiają opuścić wioskę. I wówczas żona zaprzyjaźnionego z braćmi imama, na słowa jednego z zakonników, że czasem ptaki odlatują, odpowiada, że ptakami są miejscowi Tauregowie („Kel tagoulmoust”, czyli ludzie „zasłaniający twarz”) a gałęziami, na których znajdują swoje bezpieczeństwo są bracia. To wyznanie muzułmanki było wystawieniem świadectwa piękna Ewangelii, jaką ukazali bracia – świadectwa nie przez słowo, ale przez uznanie muzułmanów za swych braci. Sto lat wcześniej takie „credo” dla swojej misji pośrodku Islamu przyjął bł. Karol de Foucauld: „nie ma nic piękniejszego dla małego brata Jezusa, niż stawać się



Fot. Robert Zak

narzędziem, którym Bóg się posługuje, aby np. jakiś muzułmanin żył w łasce Chrystusowej i umierał w Chrystusie, nie przestając być muzułmaninem. W wypadku takim nie doszło do przekazania dobrej nowiny Ewangelii za pośrednictwem słów; nie było nawrócenia. Jest to ewangelizacja (...) przez obecność Najświętszego Sakramentu, przez Najświętszą Ofiarę, modlitwę, pokutę, pełnienie cnót ewangelicznych, miłosierdzie, przez miłość braterską i powszechną – dzielącą się wszystkim do ostatniego kęsa chleba z każdym biedakiem, każdym gościem, każdym nieznanym, który przychodzi”.

Nadzieję na możliwość koegzystencji chrześcijan i muzułmanów wyraża jeden z ostatnich dokumentów pontyfikatu Benedykta XVI – adhortacja *Ecclesia in Medio Oriente*, owoc Synodu Kościołów na Bliskim Wschodzie. Papież, precyzyjnie nakreślając coraz trudniejszą sytuację miejscowych chrześcijan i skomplikowane relacje z islamem, które wynikają z coraz wyraźniej dochodzącego do głosu fundamentalizmu i ekstremizmu (zob. p. 26), pisze jednak: „Oby ten region ukazał, że wspólne życie nie jest utopią oraz że nie istnieje fatalizm nieufności i uprzedzeń. (...) Bliskowschodni chrześcijanie od stuleci żyją w dialogu z muzułmanami. Dla nich jest to dialog życia codziennego i prowadzony w życiu codziennym. (...) zachęcam do kontynuowania (...) dzieła pokoju, wiedząc, że trzeba wspierać wszystko to, co zwalcza ignorancję i sprzyja poznaniu”.

SZCZECIN POMORZ(Ż)E ŚWIĘTOŚCI

Tekst
Kinga Senczyk
stypendystka FDNT

Przyroda zmienia swe kolory z intensywnej zieleni na czerwienie i brązy, a temperatura spada. Idzie jesień. Jednak stypendyści Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” mają jeszcze świeżo w pamięci obóz w Szczecinie. Gimnazjaliści i licealiści z całej Polski przybyli w lipcu do tego miasta, by poznać jego historię, zachwycić się architekturą, ale przede wszystkim, by pokazać jego mieszkańcom jacy są. W ten sposób mogli odwdziżyć się za modlitwy i ofiarowane na stypendia pieniądze.

Znacząca większość stypendystów Fundacji odwiedziła Szczecin po raz pierwszy w życiu. Na pewno nie będzie on ostatnim. W ciągu tych dwóch tygodni zobaczyli wiele zabytków (m. in. Wały Chrobrego, największy cmentarz w Europie, kino Pionier, katedrę, bunkier podziemny, starówkę). Uczestniczyli w warsztatach organizowanych przez uniwersytety szczecińskie. Wzbudzali szczególne zaciekawienie, gdy małymi grupkami w pośpiechu przemierzali całe miasto w różnych kierunkach. Powodem była gra miejska, zorganizowana oczywiście przez samych stypendystów. Poza zabawą, była to także doskonała okazja to poznania miasta i jego historii.

Przed wszystkim jednak starali się pokazać wszystkim, jak można się cieszyć ze swojej wiary. Doskonałą okazją do tego był koncert w Teatrze Letnim, na którym występowali stypendyści wraz z zespołem Deus Meus. Było to wydarzenie, na którym bawili się nie tylko młodzi z Fundacji, lecz także mieszkańcy Szczecina.

Kolejną okazją do pokazania się w całej okazałości i ze wszystkimi talentami był flash mob na Jasnych Błoniach. Stypendyści wykonali swoją wersję muzyki do tańca zwanego belgijką. Choreografię ćwiczili ukradkiem, by móc ją później zaprezentować przed zaskoczonymi mieszkańcami Szczecina.

Stypendyści odwiedzili większość parafii w Szczecinie. Żywiołowa serdeczność i otwartość szczecinian była dla młodych miłym zaskoczeniem. Proboszczowie przyjęli ich życzliwym słowem, a także słodkim poczęstunkiem. Wielu parafian chętnie rozmawiało ze stypendystami po zakończonej Eucharystii.



Stypendyści na Jasnych Błoniach w Szczecinie. Fot. FDNT

Bardzo miłe wspomnienia stypendyści wywieźli również ze Świnoujścia, gdzie spędzili jeden dzień. Pierwszym punktem tej wycieczki była msza św. na wyspie Wolin pod przewodnictwem ks. bpa Mariana Błazeja Kruszyłowicza. Potem „żółta fala” ruszyła ku miejscu docelowemu wyjazdu. Był to przede wszystkim dzień odpoczynku. Odważniejsi zażywali kąpeli w Bałtyku, a ci, których przestraszyły wysokie fale i niska temperatura wody, grzali się na słońcu.

Obowiązkowymi punktami w programie obozu każdego roku są: Dzień Sportu oraz Dzień Skupienia. Czyli coś dla ciała i coś dla ducha. Różnorodność dyscyplin sportowych (od siatkówki i piłki nożnej, przez biegi, ping ponga, badminton, po turniej w grze „Papier, kamień, nożyce” i przrzucanie za pomocą koców balonów z wodą na drugą stronę siatki) pozwalała każdemu stypendyście na czynne wzięcie udziału w zmaganiach. Prowadzona była również ogólna klasyfikacja, w której sumowano wyniki stypendystów z każdego ośrodka, w którym mieszkali. Na koniec uroczysto wręczono zwycięzcom nagrody.

Dzień Skupienia z kolei ma służyć wyciszeniu wewnętrznemu, stwarza okazję do osobistego spotkania z Bogiem w czasie adoracji oraz w sakramentach. Wielu skorzystało z sakramentu pokuty i pojednania. Stypendyści jednali się nie tylko z Bogiem, lecz także z samym sobą oraz z innymi stypendystami. A wszystko oczywiście było bogato okraszone łzami przebaczenia, ulgi, wdzięczności i szczęścia.

Mimo że pogoda była iście wakacyjna, towarzystwo doborowe i każdy z chęcią zostali dłużej – trzeba było jednak w końcu wrócić do domu. Bez wątplenia z utęsknieniem czekają już na kolejny obóz. A tymczasem mogą wspominać wyjazd do Szczecina, dzięki artykułom i filmikom autorstwa Biura Prasowego FDNT, dostępnym na stronie: www.dzielo.pl, na którą, w swoim i ich imieniu, gorąco wszystkich zapraszam.

JESTEŚMY CZĄSTKĄ KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO!

Tekst

Krzysztof Szypowski

parafia Cerkwi Greckokatolickiej

pw. św. Jozafata w Stargardzie Szczecińskim

Wiele wydarzeń i zawirowań dziejących się obecnie na Ukrainie może skłaniać do refleksji nad sytuacją wyznaniową tego państwa. Aby uniknąć stereotypów i uproszczeń, pragnę przybliżyć ją nieco Czytelnikom „Prosto z Mostu...”. Myśląc o konfesji krajów Europy Wschodniej, bardzo często na plan pierwszy wysuwa się Prawosławie.

„Według danych CIA za 2006: Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego liczył [przyp. K.S.] 50,4%; Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego 26,1%; Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny 7,2%; Kościół katolicki obrządku bizantyjsko-ukraińskiego (grekokatolicy) 8%, katolicyzm 2,2%; protestanci 2,2%; judaizm 0,6%”. (Ukraine – Religions. www.cia.gov 2014-02-11, [dostęp: 2014-02-24])

Oficjalnie obecnie na Ukrainie działają trzy cerkwie prawosławne (patriarchatu moskiewskiego, kijowskiego oraz autokefaliczna). Wbrew częstym stereotypom (Ukrainiec = grekokatolik), wierni naszego Kościoła stanowią na Ukrainie zdecydowaną mniejszość. „Grekokatolicy przeważnie mieszkają w zachodniej części państwa w trzech obwodach: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim, a także w Kijowie. Zdecydowana większość mieszkańców Kijowa uważa siebie za wiernych ukraińskiej Cerkwi prawosławnej (kijowskiego patriarchatu). Natomiast Wołyń, południowa i wschodnia część Ukrainy, to są parafie moskiewskiej cerkwi prawosławnej”. (*Dane według Wikipedii*, [dostęp: 2014-09-15])

Cerkiew grekokatolicka (obrzędki bizantyjsko-ukraińskiego) jest jednym z 22 wschodnich Kościołów katolickich, które razem z Kościołem rzymskokatolickim tworzą jeden Powszechny Kościół Katolicki (posługiwanie się nazwą: obrządek bizantyjsko-ukraiński zaczęło funkcjonować z chwilą nadania ówczesnemu zwierzchnikowi Cerkwi – kardynałowi Jozefowi Slipijemu – godności patriarchy kijowsko-halickiego, tj. w roku 1975). Pełna więź z Rzymem istnieje od czasu zawarcia Unii Brzeskiej, czyli od 1596 r. Jedność i autonomiczność Cerkwi grekokatolickiej (tzw. autonomiczność *sui iuris* – swego prawa) wyraża się poprzez przestrzeganie norm Kodeksu Kanonów Kościołów Wschodnich. Specyfika obrządku wynika z duchowości, liturgii, tradycji, dyscypliny oraz teologii, zawierających się w całej spuściźnie Kościoła wschodniego.

Początki naszej Cerkwi znaleźć można na przełomie IX-X wieku na Rusi Kijowskiej. W roku 988 książę Włodzimierz Wielki przyjął chrześcijaństwo z Bizancjum, ze Wschodu.

Obrządek bizantyjsko-ukraiński w latach 1947-1989 był jedynie tolerowany przez władze PRL-u. Inaczej wyglądał jego status w ZSRS (Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich) Tam w 1946 r. doszło do całkowitego jego wchłonięcia przez struktury Cerkwi prawosławnej. 10 grudnia 1946 r. ojciec święty, Pius XII, ówczesnemu prymasowi Polski – Augustowi Hlondowi – nadał specjalne pełnomocnictwa dotyczące obrządków wschodnich w Polsce, mianując go Delegatem Stolicy Apostolskiej dla Kościołów Wschodnich w Polsce. Władze PRL nie wyrażały jednak zgody na uregulowanie ich statusu prawnego.

W roku 1989, wraz z mianowaniem własnego biskupa, którym został ks. mitrat Jan Martyniak (początkowo jako sufragan prymasa Polski i Wikariusz Generalny wiernych obrządku greckokatolickiego), zaobserwować można dynamiczny rozwój Cerkwi greckokatolickiej w Polsce.

16 stycznia 1991 r. Jan Paweł II mianował ks. biskupa Jana Martyniaka ordynariuszem eparchii (diecezji) przemyskiej.

W chwili obecnej Cerkiew posiada dwie eparchie (diecezje): archieparchię (archidiecezję) przemysko-warszawską (na jej czele stoi ks. abp Jan Martyniak), której stolicą jest Przemysł oraz eparchię wrocławsko-gdańską (którą kieruje ks. bp Włodzimierz R. Juszcak) ze stolicą we Wrocławiu. Wierni objęci są opieką duszpasterską kapłanów, kształconych w Seminarium Duchownym w Lublinie (działającym przy Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym Kościoła Rzymskokatolickiego), bądź zakonników ze Zgromadzenia Ojców Bazylianów. Budowane są nowe świątynie. Wierni pamiętający „dawne czasy” nie czują się pozbawieni opieki przez swych pasterzy, a młodzi częstokroć szukają źródeł swej tożsamości narodowej.

W nowych warunkach ustrojowych doświadczyć też można przejawów tolerancji, szacunku i wsparcia. Wspaniałym tego przykładem może być kwesta administratora parafii Kościoła greckokatolickiego p.w. św. Jozafata Kuncewicza ze Stargardu Szczecińskiego – ks. dr. Rusłana Marciszaka – na rzecz budowy nowo powstałej świątyni, w stargardzkich parafiach Kościoła rzymskokatolickiego.

*Informacje dotyczące działalności Cerkwi greckokatolickiej podano na podstawie broszury: ks. P. Potoczny, *Kościół Greckokatolicki w Polsce*, Przemysł 2012.

ZDMUCHNAĆ ZNICZE?

Tekst

Ks. Mariusz Sokołowski Schr
chrystusowiec



Fot. Ks. Mariusz Sokołowski

31 sierpnia kończyłem czas mojego urlopu, wakacji, byłem w drodze do Niemiec. Wracając od rodziców, kierowałem się na Szczecin przez Wejherowo. Aby uniknąć, raczej pewnych o tej porze roku, korków pojechałem znanymi mi skrótami, które wiodą przez Leśniewo i Piaśnicę Wielką. Gdy przejeżdżałem przez tę ostatnią wioskę poczułem jakieś wewnętrzne natchnienie i głos: „Jedź do lasu!” Pojechałem. I wtedy się zaczęło... Ktoś zapytał: „Co się zaczęło? Co to za las i po co tam jechać?” Słuszne pytania. No cóż, las jak las, ale nie do końca. Ten las, te drzewa są niemymi świadkami ogromnej tragedii, jaka rozgrywała się tam na początku wojny w 1939 roku. Gdy przybyłem na to miejsce pierwszy raz – kilka lat temu – to pamiętam, że pomyślałem: „To jest jak Katyń” a nie wiedziałem, że faktycznie tak mówi się o tym miejscu: „Pomorski Katyń”. Tutaj Niemcy mordowali ludzi z Pomorza Gdańskiego, a także niemałą część mniejszości polskiej przywiezionej z Niemiec i osób chorych, niepełnosprawnych z III Rzeszy, których

likwidowano w zaplanowanej akcji eutanazyjnej. Łącznie zamordowano w lasach Piaśnicy około 12 tys. osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Akcję eksterminacji, a właściwie jej początek, celowo zaplanowano na 11 listopada. Jest to przecież ważna dla Polaków data. Początkowo hitlerowcy wywozili do lasów Piaśnicy mężczyzn stanowiących inteligencję: urzędników, nauczycieli, księży. Potem także kobiety i dzieci. Jednak szczególną agresją dotknięte zostało duchowieństwo. Zresztą, Hitler nie krył nigdy swej awersji, pogardy do wiary, do Boga. Kiedyś powiedział: „Można być albo Niemcem, albo chrześcijaninem.

Nigdy jednym i drugim. Księża sami będą musieli wykopać sobie grób". Istotnie w lasach Piaśnicy zabito wielu kapłanów, a kilkadziesiąt zbiorowych mogił świadczy o tym, że Hitler słowa dotrzymał.

Dlaczego o tym piszę? 31 sierpnia bowiem, na dzień przed 1 września i jednocześnie przed kolejną – już 75. – rocznicą wybuchu II wojny światowej, spacerując z różańcem po piaśnickich lasach, coś ważnego do mnie dotarło... W tym miejscu byłem przecież wielokrotnie. Wielu moich znajomych tam zawoziłem, aby pokazać im trudną część polskiej i lokalnej historii. Niemało razy bywałem tam sam. Tak było też teraz. A jednak było inaczej... Do lasu wjechałem samochodem na niemieckich numerach rejestracyjnych. Jakoś dziwnie, nijak się poczułem, głupio... „Tu, po tych leśnych drogach jeździły już niemieckie wozy, ciężarówki. Do lasu wjeżdżały pełne ludzi. Wracały puste...”. Dziwnie mi się zrobiło. Byłem tylko ja, te drzewa wysokie, ich szum, wiatr i szereg myśli, pytań o sens wojny, pytań o przerwane szczęście tylu ludzi... A może czas przestać myśleć, zastanawiać się, po co to było. Po co pytać: „Kto miał i otrzymał prawo do takich działań?” Może to bez sensu? Pytałem jednak, ale odpowiedzi nie było. Przypomniał mi się jeden z polskich polityków, który w kolejną rocznicę katastrofy smoleńskiej rzekł: „Czas zdmuchnąć już znicze”. Spowodowało to lawinę oburzenia, bo jak śmie tak mówić, gdy wielu wciąż jeszcze cierpi po tej strasznej katastrofie. A może miał rację? Nie można żyć stale w żałobie, przecierając łzy, ale z drugiej strony nie można komuś zabronić tęsknoty, żalu za bliskimi. Niech znicze się palą i tam w Warszawie, Smoleńsku, Katyniu, i tu w piaśnickich lasach. „Ale dlaczego ja mieszkam w Niemczech? Jak to możliwe, że ja, który uważam się za patriotę, bronię Polski jak umiem i kocham ją jak własną Matkę wyjechałem poza jej granice, i to do Niemiec!? Ironia losu! Gdyby do Anglii, USA, ale do Niemiec!?! Co ja tam robię?” – mówiło moje „ja”. Przyszła mi do głowy myśl: „Niemcy, nienawidzę was



Fot. Ks. Mariusz Sokołowski

za to coście uczynili naszym dziadkom, babciom, naszej historii, dziejom. Nienawidzę! Nienawidzę was!” Młodzież by powiedziała, że nagle: „Nóż mi się w kieszeni otworzył”. Tak było. Na szczęście od razu pojawiła się myśl: „PRZESTAŃ! Przestań, jesteś księdzem! Jesteś katolikiem, chrześcijaninem! PRZESTAŃ człowieku!” Opuściłem głowę. Drzewa jakby mocniej zaczęły szumieć, dając wyraz niezadowoleniu z mojej postawy. Wstyd mi się zrobiło, bo faktycznie jestem księdzem... Jezus uczy nas a ja za Nim uczę ludzi trudnej sztuki miłości do nieprzyjaciół, sztuki wybaczenia. Zrozumiałem, że ja jej jeszcze nie posiadam. Niestety... emocje, ludzkie odruchy wzięły górę. Zresztą, nie pierwszy raz w tamtym czasie. Kilka dni wcześniej, gdy odwiedzałem rodzinę na Helu, na ulicach tego urokliwego kurortu mijałem kilkunastu żołnierzy ubranych w niemieckie mundury z czasów II wojny światowej. Byli to aktorzy przedstawiający na plaży helskiej inscenizacje wojenne w ramach projektu D-Day. Wiedziałem, że są to aktorzy, ale już wtedy czułem jakiś niesmak i niezadowolenie z ich obecności. „Wynocha!” – chciałem powiedzieć, krzyknąć. A byli to przecież tylko aktorzy...

Wróciłem do Niemiec, do parafii w Bochum, gdzie posługuję. Po wydarzeniach w Piaśnicy proszę Boga o łaskę wolności od rządu odwetu, zemsty i od nienawiści, której jak się okazało nieco w sobie nosiłem.... Wiem, że wszystko jest po coś, także mój pobyt u zachodnich sąsiadów. Jestem tu chyba, aby ich lepiej poznać i zrozumieć, ale też i samego siebie. Jestem tu po to, by jeszcze mocniej zatęsknić za Polską i ją docenić. Kiedyś znajoma Polka mieszkająca w USA wyznała: „Śmiejemy się z mężem, że gdybyśmy z Polski nie wyjechali, to nigdy nie byłibyśmy takimi patriotami jakimi jesteśmy na obczyźnie”. Doskonale ich rozumiem. Przeżywam to samo. Nawet na swoim plecaku umieściłem ostatnio małą, biało-czerwoną flagę z napisem POLSKA. A co tam... niech inni Polacy mijający mnie, wiedzą, że nie mamy się czego wstydzić, że raczej powinniśmy być dumni ze swych korzeni i niech zrozumieją jeszcze jedno, że naprawdę jest możliwe, by żyć z Niemcami jak brat z bratem.

Z woli przełożonych mieszkam w Niemczech, dlatego szanuję Niemców, przecież oddycham ich powietrzem, jem ich chleb (choć nie ma jak polski!) i mam świadomość, że dają pracę wielu naszym rodakom, dla których tu przybyłem. Nie są aż tacy źli. Czym zawinili młodzi Niemcy, przecież to ich dziadkowie, pradziadkowie popełniali błędy. Co mogą? Wiem, że żyją z blizną na życiorysie, która nigdy nie zniknie i która ich obciąża, ale wiem też, że potrafią kochać, wybaczać. I wierzę, że gdyby mogli, zmieniliby, wymazali pewne karty swojej niechlubnej historii. Gdy jednak jadą do Auschwitz i w inne miejsca kaźni, nie wstydzą się, sami zapalają znicze.

PATRZEĆ NA SŁABOŚCI JAKO DAR OD BOGA

Tekst

Monika Miziałkowska

kl. Robert Bałuka

Katarzyna Kostyk

Pierwsze moje spotkanie z osobami chorymi z Apostolatu Chorych odbyło się w grudniu 2012 r. Uczestniczyłam wówczas w spotkaniu opłatkowym w AWSD w Szczecinie, a moją rolą było po prostu podać do stołu i porozmawiać z osobami samotnymi, chorymi. Niby nic takiego, a jednak coś wielkiego, przynajmniej dla mnie. Był to czas kiedy – można powiedzieć – nowo poznawałam BOGA. Dokładnie pamiętam, co wtedy czułam. Przeogromną radość z tego, że moja praca miała sens. Spotkałam tam osoby po prostu radosne, pomimo swej choroby, niepełnosprawności. To wydarzenie pozostało w mojej pamięci i z biegiem czasu zaczęłam je coraz bardziej analizować. Próbowałam odnaleźć sens mojego życia, zauważyłam, że moje serce jest pełne miłości, choć próbowałam to w sobie wcześniej stłumić. Dlaczego? Sama nie wiem.

Apostolat Chorych jest grupą religijną zrzeszającą ludzi niepełnosprawnych ruchowo, cierpiących na różnego rodzaju choroby, a także na dolegliwości związane z wiekiem. W grupie tej działają również osoby młode, w pełni zdrowia, które chcą pomagać innym. Apostolat umożliwia dzielenie się radościami i smutkami oraz wzajemne wsparcie w trudnych chwilach. To wspólne przebywanie daje szansę do odkrycia bogactwa tkwiącego w każdym z nas, bez względu na to, kim i jacy jesteśmy. Poprzez modlitwę i trwanie przy Panu Jezusie cierpiącym na krzyżu, uczymy się patrzeć na nasze życie, występujące w nim słabości, jako dar od Boga.

Akcja Churching 1.0 Fot. Archiwum prywatne



Kolejnym etapem „wchodzenia” jako wolontariuszka, czy – jak to w Apostolacie się mówi – „aniołka”, było jakby przyglądanie się rekolekcjom dla chorych w mojej parafii w Domu Pielgrzyma. „Przyglądanie się”, bo po prostu nie byłam jeszcze gotowa podjąć wyzwania. To, co zauważyłam to rodzinna atmosfera panująca wśród ludzi uczestniczących w tych rekolekcjach. Bardzo szybko i ciepło i ja zostałam przyjęta do tego grona. Wtedy, a było to rok temu, postanowiłam, że na kolejnych rekolekcjach chcę aktywnie pomagać. Ale jak pomagać komuś, kto jest na wózku, aby nie zaszkodzić? Żadnego doświadczenia, tylko dobre chęci. Chociaż nie tylko, przede wszystkim pomoc BOGA. Pamiętam, jak prosiłam Boga o to, aby to On mi pomógł, pamiętam jak bardzo mi zależało, aby zrobić coś dobrego dla innych, aby dać komuś jakąś – choćby malutką – radość. Przekonałam się, że zaufanie do BOGA daje siły, możliwości jakich w sobie nie widziałam do tej pory. Życie ludzkie jest nieprzewidywalne, kiedy zaufa się Bogu, pozwoli Mu się, aby działał w naszym życiu, to On potrafi zrobić tak wielkie rzeczy, że nawet w najśmielszych marzeniach człowiek sam by tego sobie nie wymyślił. Wspaniale jest ofiarować komuś coś, co jest mu akurat teraz najbardziej potrzebne. To dobro działa w obie strony.

Kolejną akcją, jaka wyrosła z tych ostatnich rekolekcji, jest churching. Pomysł kleryka Roberta, który był z nami na rekolekcjach. Bardzo ciekawa inicjatywa, zwiedzanie szczecińskich kościołów. Staramy się zapraszać wszystkich chorych na taki niedługi spacer po naszym wspaniałym Szczecinie. Odwiedzamy kościoły, poznajemy ich historię, sztukę sakralną. Punktem kulminacyjnym spotkania jest Eucharystia, po której mamy poczęstunek: kawę, herbatę i zawsze coś na słodko. Czyli coś dla duszy i coś dla ciała. Akcja churchingu skierowana jest przede wszystkim do chorych, tych poruszających się samemu i tych, którzy potrzebują pomocy. Tę właśnie pomoc ofiarowujemy my – wolontariusze. Jesteśmy dla potrzebujących. Jesteśmy dla Was! Bardzo nam zależy, aby osoby chore wyszły ze swoich domów, aby mogły zobaczyć, doświadczyć czegoś, co do tej pory było jakby niedostępne. Czasem każdy człowiek ma w sobie jakieś blokady – wolontariusz także – i nie zawsze są to blokady fizyczne. Czasem bywa tak, że my, wolontariusze, Wasze Aniołki, potrzebujemy właśnie Waszej pomocy w tym, aby móc Wam pomóc.

Do tej pory odbyły się dwa takie spotkania, podczas których zwiedzaliśmy kościoły wyznania rzymskokatolickiego. Mamy wiele pomysłów na kolejne akcje, również ekumeniczne. Wszystkich zainteresowanych Apostolatem Chorych zapraszamy do odwiedzenia strony internetowej: www.apostolatchorych.cba.pl, na której znajduje się również internetowe archiwum Listów do Chorych i ich Rodzin. Natomiast informacje o spotkaniach, podczas których będziemy poznawać kościoły Szczecina, znajdziecie na naszym Facebook’u (Churching).

„BYŁAM ZAKOCHANA. ZACHÓD SŁOŃCA, WODA I WTEDY PRZYSZŁA TA MYŚL”

Rozmawiał
Piotr Kołodziejski
parafia rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

W ubiegłym roku w audycji katolickiej Radia Szczecin „Religia na fali” przedstawiliśmy historię powołań niektórych sióstr Uczennic Krzyża. Oto jedno z nich opowiedziane w rozmowie z Piotrem Kołodziejskim.

Oto fragment wywiadu z listopada 2013 roku.

Piotr Kołodziejski: Decyzja zapadła po maturze czy trochę później?

S. Nina, Uczennica Krzyża, nowicjuszka 4. rok w zgromadzeniu: Trochę później, bo w wieku 28 lat. Już po studiach i pięciu latach pracy zawodowej. Studiowałam germanistykę i potem uczyłam języka niemieckiego w gimnazjum.

Jak zareagowały dzieci, kiedy dowiedziały się, że ich nauczycielka idzie do zakonu?

To było bardzo ciekawe, bo nie powiedziałam od razu, z jakiego powodu odchodzę z pracy, ale po jakimś czasie takie plotki docierały do różnych osób. Niedawno spotkałam trójkę moich uczniów, którzy zareagowali bardzo spontanicznie. Myśleli, że to tylko plotki. Byli bardzo otwarci, a ja miałam z nimi bardzo dobry kontakt, dlatego mogliśmy porozmawiać otwarcie, że to moja decyzja i teraz jestem tu.

Teraz więc nie tylko język niemiecki, lecz także religia w szkole?

Być może. Jeszcze tego nie wiem.

Dane z 2011 roku pokazują, że było 209 kandydatek do życia konsekrowanego, choć jeszcze w 2000 roku to były 723 osoby. Skąd ta diametralna różnica?

Trudno mi powiedzieć, bo nigdy tego nie śledziłam i nie zastanawiałam się konkretnie nad tym. Pewnie to kwestia trudności w podjęciu decyzji radykalnego życia, bo to na pewno jest trud i wiąże się z lękiem.

Wśród znajomych było zaskoczenie tą decyzją, zrozumienie, czy są też tacy, którzy zastanawiali się nad tą drogą?

Wśród znajomych było duże zaskoczenie. Myślę, że trochę rodziło się to ze stereotypowego spojrzenia na siostry zakonne. Ja nie pasowałam koleżankom



Fot. Piotr Kołodziejcki, radioszczecin.pl

z pracy, znajomym do tego obrazu. Być może z tego wynika, że młode kobiety nie decydują się na takie życie, bo jest utarty obraz takich osób.

Nie pasowała siostra do tego obrazu, bo nauczycielka zaczyna realizować się w życiu świeckim i nagle decyzja dla niektórych pewnie niezrozumiała. Kiedy zaczęła się ona rodzić w życiu siostry?

Miałam może 26 lat. Wtedy poznałam siostry Uczennice Krzyża. Nie od razu pomyślałam, że może mam powołanie i nie od razu pomyślałam, że to życie jest pociągające. Kilka razy spotkałam się z siostrami na rekolekcjach, na dniach skupienia i wtedy zaczęły się pojawiać takie myśli. Miałam jednak już poukładane życie, bo wynajmowałam sobie dom, który bardzo lubiłam. Współpracowałam też z ośrodkiem kultury, zaczęłam odkrywać w sobie pasje teatralne i doszukałam się w tym kierunku. Nawet fajnie mi to wychodziło. Byłam w tym wszystkim przedsiębiorcza, więc kiedy znajomi usłyszeli o decyzji, i jak to mówili, „teraz będziesz się tylko modlić”, było to bardzo zaskakujące dla nich. Od pierwszej myśli minęły jednak dwa lata, zanim podjęłam ostateczną decyzję, by przyjść do tej konkretnej wspólnoty.

Czy ta decyzja wiązała się z wewnętrznym spokojem, radością „tak, wreszcie postanowiłam”? Czy był niepokój, wewnętrzne sprzeczności?

Były wewnętrzne sprzeczności, bo w końcu znalazłam swoje miejsce w życiu, zaczęłam robić to, co lubiłam; też otaczałam się ludźmi, których pokochałam. Musiałam jednak ostatecznie podjąć jakąś decyzję, co dalej zrobić ze swoim

życiu. 28 lat to już taki wiek, kiedy należałoby podjąć decyzję, czy planować małżeństwo, czy coś innego. Wiedziałam, że to ten czas na podejmowanie decyzji. I decyzja była właśnie taka. Dla mnie to był też moment, kiedy namacalnie doświadczyłam Bożej miłości, spotkania z Bogiem. Usłyszałam zaproszenie. Trudno o tym opowiedzieć, bo to nie jest widzialny znak. To jest po prostu coś, co dzieje się w sercu. Właśnie na to chciałam odpowiedzieć.

Mówi siostra, że trudno jest o tym opowiedzieć. Może właśnie stąd bierze się mniejsza liczba kandydatek do życia konsekrowanego, bo dziś kiedy kobieta pędzi za karierą albo chce założyć rodzinę i realizować się jako matka, to kiedy usłyszy, że trzeba poczuć miłość Boga, otworzyć się na Boga, to mogą to być niezrozumiałe komunikaty. Może potrzeba więcej precyzyjnych, prostych, zwyczajnych, ludzkich komentarzy, jak to wyglądało w moim życiu, gdzie było dotknięcie, jak rodziło się powołanie, żeby inna kobieta w życiu świeckim zaczęła odkrywać coś takiego u siebie?

Rzeczywiście trudno dać praktyczne wskazówki. O sobie mogę powiedzieć tylko tyle, że w tym momencie, kiedy zrodziło się takie postanowienie, ja byłam zakochana. Akurat byłam wtedy sama na spacerze. Był zachód słońca, wokół woda. Wtedy przyszła mi taka myśl, że jest ktoś kto kocha mnie nieskończenie bardziej niż ktokolwiek na ziemi może mnie pokochać. To był impuls. Wtedy się jeszcze nad tym nie zastanawiałam, ale wiem, że to jest początek mojego powołania. Oczywiście byłam też w kościele, słuchałam Słowa Bożego, uczestniczyłam w różnych rekolekcjach, starałam się czytać komentarze, mądre słowa, słuchać księży, ale tak naprawdę to nie z tych słów, które padają, rodzi się powołanie.

Była siostra na spotkaniu seminarzystów i zakonników, osób powołanych z papieżem Franciszkiem. Co zapamiętała siostra z tego spotkania?

Padły tam słowa dotyczące rozpoznawania powołania i decydowania się na podjęcie go. O tym, że dziś żyjemy w kulturze tymczasowości. Młodzi ludzie nie są przygotowywani do tego, żeby podjąć decyzję na całe życie. Trudno jest zdecydować się na radykalny krok. Nie wiem, jak to dziś jest z decyzją o zawarciu małżeństwa. Czy jest spadek tej liczby, ale na pewno dotyczy to podejmowania zaproszenia Boga do życia w zakonie czy kapłaństwie. Papież zachęcał, żeby podejmować decyzje odważne na całe życie. Nie na 2, 5 czy 10 lat, ale żeby nasze „tak” było na całe życie. I druga sprawa, że chrześcijanin to człowiek radosny. Jeżeli my – osoby powołane – chcemy być bliżej Jezusa, to tym bardziej powinniśmy świadczyć tę radość. Chodzi o radość spotkania z Bogiem i drugim człowiekiem, a nie radość posiadania i otaczania się różnymi, wspaniałymi rzeczami.

Dziękuję za rozmowę.

„Szukałam kogoś, kto mi powie – Tak. To jest Twoja droga. Tak zrób – Spotkałam na tyle mądrych ludzi, że nikt mi tego nie powiedział (...) To tylko Pan Bóg zaprasza. Wiedziałam, że jeżeli nie spróbuje, to do końca życia na dnie serca będzie igła niepokoju – a może tam jest moje miejsce – mówi lekarz rodzinny, która kiedyś usłyszała zaproszenie od Boga. Świadectwo siostry Karoli Joanny można posłuchać po zeskanowaniu QR kodu.



Kilka zdań o Wspólnocie

Wspólnota Sióstr Uczennic Krzyża narodziła się nocą, podczas modlitwy, z 14 na 15 sierpnia 1982 r. Swoje życie w ofierze za Kościół Święty oraz za tych, którzy są najdalej od Boga, złożyły pierwsze kandydatki nowo wyłaniającego się charyzmatu w Kościele. Następnego dnia wraz z inspiratorką, założycielką wspólnoty s. Heleną Christianą Mickiewicz, złączyły ściśle swój los, z Niepokalaną Matką Kościoła. Prosząc Maryje, by stała się Opiekunką i Matką nowo rodzącego się dzieła. Dla każdej było oczywistym, że będzie Ona doskonale wiedziała jak należy „użyć” codzienności każdej, w celu ratowania braci i sióstr, stając się niezastąpioną pomocą w wypełnieniu woli Boga Ojca.

Charyzmatem Wspólnoty jest „dążenie do doskonałej miłości Boga i bliźniego przez naśladowanie Chrystusa Odkupiciela.” (Konstytucje Wspólnoty) Głosimy Dobrą Nowinę o zbawieniu każdemu, składając swoją wolę Bogu, Ojcu Miłującemu, walcząc o życie wieczne braci i sióstr. Nie chcemy jednak pozostawać w tym same. Poznając dzięki nauce Kościoła doniosłą rolę świeckich w Jego apostołskiej misji, zapraszamy ich do świadomego i odpowiedzialnego zaangażowania, w zadanie ratowania życia wiecznego wszystkich ludzi. Chcemy wspólnie z nimi odpowiedzieć na wołanie św. Pawła „biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii” (1 Kor. 9;16).

Nazwa Uczennice Krzyża została nam подарowana przez Ducha Świętego, podczas wieczornej modlitwy w Wielki Czwartek, po roku od zawiązania się Wspólnoty. Jest dla nas wezwaniem do Kontemplacji miłości Trójcy Świętej, pogłębiającej w nas świadomość, że każdy dzień uczy nas jak prawdziwie kochać, oddając przez miłość łamaną krzyżem samego siebie.

W 1984 Ks. Bp Kazimierz Majdański przyjął nas do diecezji szczecińsko-kamieńskiej, która stała się dla nas macierzystym miejscem rozwoju. Obecnie posiadamy 12 domów, rozmieszczonych w sześciu Metropoliach.

Więcej na stronach: www.uczennicekrzyza.pl, www.centrumformacji.eu, www.domnaskale.org.pl.

S. Rut CSDC

NIE ZAPYTALI, JAK JEJ NA IMIĘ

Tekst

Ewelina Dmitrowicz

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

– Ja naprawdę kocham tę kobietę jak własne życie! – powiedział do kolegi Aleks, jakby oznajmiał najbardziej oczywistą rzecz na świecie, widząc przed sobą Sonię. To było na trasie pieszej pielgrzymki na Jasną Górę. Na postoju usiadł ze swoją dziewczyną na karimacie na brzegu lasu. Wyjęli paluszki i wodę. Robiło się duszno. Wtedy poznali tę, o której imię nawet nie zapytali.

– Jaki siostra ma ładny habit! – zawołał nieoczekiwanie Aleks. Sonia, przyzwyczajona raczej do komplementów skierowanych w jej stronę, z ciekawością zaczęła przyglądać się kobiecie, która zatrzymała się przy nich, uśmiechnęła i zaczęła gładzić ciemnoszary materiał w okolicy brzucha.

– Dziękuję, już drugi czy trzeci raz to słyszę, więc rzeczywiście musi się podobać, cieszę się.

– A skąd siostra jest, jaki to zakon?

Dogadała się z Alekssem, bo okazało się, że założyciel dość młodego zakonu braci oratorianów i Sióstr Służebnic Przenajświętszej Krwi mieszka w Niemczech, w okolicach dobrze znanych chłopakowi. W Polsce wspólnota ma swój dom w Częstochowie. Kiedy Aleks zapytał, czy więcej osób wstępuje do żeńskich czy do męskich zgromadzeń, siostra postawiła śmiałą tezę: – Więcej jest sióstr, to dlatego, że kobiety są bardziej zdecydowane i ofiarne. W tym momencie do rozmowy włączyła się dziewczyna, która od dłuższego czasu się im przyglądała. W grupie, w której szła, siostry zakonne zdawały się być zamknięte w swoim gronie, miała wrażenie, że nie inicjowały rozmów, nie prowadziły też żadnej konferencji, więc nie miała szansy ich poznać. Dlatego zaskoczona otwartością i swobodą młodej Służebnicy, wyglądającej na kobietę zadowoloną z życia, śmiało podeszła do niej i bezpośrednio zadała pytanie, które nosiła w sobie od dawna: – Siostrzo, jak można się zdecydować na całe życie włożyć habit? To przekracza granice mojej wyobraźni o poświęceniu się. Siostra odpowiedziała tak po prostu, że to nie jest wcale wielkie poświęcenie. I zaczęła opowiadać swoją historię. – Wiecie, ja kiedyś bardzo lubiłam modnie się ubierać. I w ogóle korzystać z życia intensywnie. Kilka lat pracowałam w popularnym sklepie odzieżowym, nie brakowało mi nigdy kasy, ani towarzystwa, często chodziłam na imprezy. Dobrze mi się wiodło, po studiach pracowałam w Urzędzie Marszałkowskim w Warszawie. Miałam też chłopaków, chcieli się nawet oświadczać. No nie patrzcie tak na mnie, tylko dwóch. Ale ciągle mi

czegoś brakowało. Nie umiałam ich kochać, tak jak oni mnie. Nigdy nie byłam do końca szczęśliwa ani spokojna. Dopiero teraz jestem.

– To dopiero jest świadectwo, piękne siostró! – wypalił zauroczony nią od początku Aleks.

– Nie każdy tak uważa. Moja siostra na przykład zupełnie nie rozumie, jak mogłam zrezygnować z tego wszystkiego, co miałam. Jest przekonana, że to jakiś mój wybryk, albo po prostu uder słońce i na pewno mi przejdzie. Ona się tak strasznie dziwi i wszystko zwała na słońce, ale to jest tylko droga jak każda inna. Jedni idą w małżeństwie, drudzy sami, a inni w zakonie, to nic wielkiego. Ale gorąco, chyba będzie łało, co? Cudownie, mój habit będzie ważył tylko 40 kilo, jak ja to lubię. Kiedyś tak jechałam w ulewę rowerem, mówię wam, ale było...

Porządkowy krzyknął, że za 5 minut koniec postoju. – Muszę wracać do swojej grupy, trzymajcie się – pożegnała się siostra. Nawet nie zdążyli zapytać, jak ma na imię. Rozdzielili się do swoich grup i ruszyli dalej. Każdy w tym samym kierunku.

OGRÓD

Tekst

Ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko-augsburska

w Szczecinie

Kto z nas nie lubi spacerować po ogrodzie? Chronić się przed upałem w cieniu wielkiego drzewa, które pamięta historię pradziejów. Usiąść na ławce na chwilę, aby zapomnieć, że po tej krótkiej chwili znów gdzieś pobiegniemy przez życie. Potrzebujemy ogrodu, my współcześni ludzie zamknięci w betonowych miastach. Intuicyjnie wyczuwamy, że nie do końca zatłoczone miasto jest naszym naturalnym środowiskiem. Może dlatego, że zostaliśmy stworzeni, a później umiejscowieni właśnie w Ogrodzie? Tam też były drzewa przyjemne do oglądania. To ciekawe, że człowiek od początku świata lubił patrzeć na drzewa. Co w nich zachwyca? Ich wielkość, majestatyczna korona, a może korzenie tak głęboko wpuszczone w ziemię? A może to, że potrafią wydawać owoce tak dobre do jedzenia? Może drzewa inspirują nas do bycia jak one? Może też chcemy być piękni, tajemniczy, majestatyczni, pewni i ugruntowani jak drzewa?

Człowiek został postawiony w ogrodzie, aby go uprawiał i strzegł. Uprawiać ogród – pierwsze zadanie człowieka, powierzona misja i odpowiedzialność. Życie człowieka jest jak ogród. Są tu drzewa, które dają owoce. Niektóre są

gorzkie w smaku. Inne nie owocują jak ewangeliczny figowiec. Na szczęście są w tym naszym ogrodzie drzewa owocujące obficie i smacznie. Przechodzień, zwany bliźnim, może zerwać ten owoc i cieszyć się jego smakiem, może poczuć się silniejszym i szczęśliwszym. Zadbane ogrody są piękne. Niezadbane sprawiają wrażenie, jakby były zapomniane lub niczyje. Jak jest z Twoim ogrodem życia? Jest zadbane? Czy ma swojego Ogrodnika, który z miłością Ojcowską przycina drzewa, pielęgnuje je, aby lepiej owocowały?

Każdy człowiek ma swój ogród, w którym został postawiony, aby go uprawiał i strzegł. Każdy ma swoją małą część świata, za którą jest odpowiedzialny. Jego zadaniem jest czynić ten mały świat lepszym. Dla ks. Dietricha Bonhoeffera tym małym światem było między innymi seminarium kaznodziejskie w Finkenwalde. To był jego mały ogród. Bonhoeffer pracował z kilkunastoma seminarzystami. Przez dwa lata w zajęciach wzięło udział ich ponad stu. Tak niewielu, a jednak ... Ten Bonhoefferowski Ogród miał niesamowitą siłę oddziaływania. Myśli powstałe w tym miejscu, zawarte w dziełach Bonhoeffera, zmieniały myślenie wielu ludzi lat trzydziestych i czterdziestych minionego wieku, ale również do dzisiaj sprawiają, że wiele indywidualnych ogrodów życia staje się piękniejsze.

Cisza i kontemplacja

Czasem spragnieni jesteśmy ciszy, jak po upalnych dniach ziemia oczekuje deszczu. Codziennie dociera do nas coraz więcej informacji, coraz więcej gwaru, hałasu. Choć nasz mózg potrafi selekcjonować dane ważne od niepotrzebnych, to jesteśmy zmęczeni przerabianiem docierających do nas bodźców. Czy nie zdarza się, że obciążeni natłokiem zdarzeń, chcemy głośno krzyknąć: CISZA!!! Innym razem, przez ciszę nie potrafimy zasnąć. Kiedy udajemy się w jakieś ustronne miejsce, uciekając od codzienności. Kiedy nic nie słychać i telefon nie ma zasięgu i nie możemy sprawdzić, co się dzieje na świecie i w życiu naszych znajomych, wtedy cisza przeraża. Niebezpiecznie zaczynamy przysłuchiwać się naszemu sercu i myśli nasze, te czasami głęboko w nas ukryte, zaczynają dochodzić do głosu. Nie zawsze jest nam to na rękę. Kiedy w ogrodzie naszego życia panuje cisza, wtedy można usłyszeć tajemniczy szelest. Nie jesteśmy w tym ogrodzie sami. Nie bójmy się. To Bóg przechadza się w powiewie dziennym. On nie chce nam wyrządzić krzywdy. Co najwyżej zapyta: Człowieku, gdzie jesteś? No właśnie, gdzie? Warto w tej ciszy odpowiedzieć sobie na to pytanie. Gdzie aktualnie jestem w swoim życiu? Czy nadal w ukryciu przed Bogiem? A może bezpiecznie razem z Nim jako Wielkim Ogrodnikiem?

Bonhoeffer też szukał tutaj ciszy. Też nie było łatwo ją znaleźć. Hałas związany z pobliskim lotniskiem wojskowym, przejeżdżające pociągi, ale i niepokojące doniesienia z kraju o coraz silniejszym faszyzmie, antyjudaiźmie i widmo wojny, skutecznie zakłócały ciszę w duszy. To był czas niepokoju, rodzącego

się lęku o przyszłość. Przeciw faszystowskiej sile i agresji Bonhoeffer krzyczał głośno, namawiając swoich seminarzystów, aby byli gotowi do wyraźnego sprzeciwu. To nie było łatwe zadanie. Wymagało odwagi, siły i roztropności. Okazało się, że ten krzyk sprzeciwu, który zdecydowanie miał większy zasięg niż tylko Finkenwalde, wymagał ofiary z życia. Bonhoeffer szukał swojej siły i odwagi w ciszy. W ciszy czytanych psalmów doświadczał przechadzającego się po jego ogrodzie życia Boga.

Człowiek przeznaczony jest do życia w ogrodzie. Mimo dynamicznie rozwijającej się ludzkiej cywilizacji, która coraz bardziej oddala nas od pierwotnego ogrodu, nasze zadanie wciąż pozostaje bez zmian: uprawiać i strzec ogrodu. To piękne, ale i odpowiedzialne zadanie. Pomyślmy o naszych ogrodach: o naszym życiu rodzinnym, zawodowym, o wspólnocie wiary, do której należymy. Czy nie ma tam wyschniętego drzewa, które symbolizuje coś, co było piękne, dobre, wartościowe, ale jednak z jakiegoś powodu w nas umarło? Czy posadziliśmy już nowe drzewo, w które wpatrujemy się z nadzieją lepszego jutra? Czy mamy przyjaciół, z którymi budujemy mosty pojednania, razem z którymi pracujemy nad dobrą przyszłością? Czy nie ma w naszym ogrodzie krzesła przewróconego obok stołu symbolizującego zerwaną z kimś relację? Może jeszcze niedawno ktoś był nam bliski, może bywał w naszym ogrodzie życia, ale przestał do niego zaglądać albo z jakiegoś powodu go stamtąd wyrzuciliśmy? Może czas z powrotem postawić to krzesło przy stole?

Człowiek przeznaczony jest, aby czasem przebywać w ciszy. Nie bójmy się jej, uciekając przed ciszą, uciekamy przed sobą samym i Bogiem. Cisza może być naszym sprzymierzeńcem. To cicha, ale i skuteczna broń w walce z nadmiarem myśli i gwaru codziennego dnia. Choć, przychodząc na ten świat, wydajemy niemowlęcy krzyk, to ostatecznym naszym przeznaczeniem jest odejść z tego świata w ciszy. „A gdy nastanie cisza upragniona, daj mi usłyszeć dzieci twoich śpiew i niech też dusza moja utęskniona dostąpi wejścia do ojczystych stref.”



Sebastian Roszkowski i Piotr Kołodziejcki zapraszają na sportową audycję w internecie „Sport w Sieci”. Ciekawi goście, wśród nich sportowcy, trenerzy, działacze i dziennikarze sportowi z innych mediów. Rozmawiamy o wydarzeniach sportowych w Szczecinie, kraju i na świecie. Na stronie również relacje on line z meczów piłkarzy Pogoni Szczecin i siatkarek Chemika Police. Zapraszamy do słuchania i czytania na www.radioszczecin.pl/sws. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/sws92fm>

Proszę zeskanować kod QR



II WOJNA JAKO PRETEKST...

Tekst

Agata Krężałek

Wrzesień jest miesiącem niezwykle ważnym w dziejach polskiej historii, przywołuje on wspomnienia wydarzeń z 1939 roku. Z okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej organizowane są w naszym państwie uroczyste obchody. Jest to czas na refleksję, zadumę i uczczenie pamięci poległych w walce za wolność ojczyzny. Do wydarzeń wojennych wciąż nawiązują artyści tworzący współczesną kulturę. Postanowiłam przyjrzeć się wybranemu tekstowi kultury – dramatowi *Nasza klasa*, wystawianemu na warszawskiej scenie Teatru na Woli w reżyserii Ondreja Spišáka. Spróbuję odpowiedzieć na pytanie odnoszące się konkretnie do tego tekst – w jakim celu Tadeusz Słobodzianek wykorzystał motyw II wojny światowej w swoim utworze?

Jego akcja rozpoczyna się przed wojną i toczy do czasów dobrze znanych współczesnemu, dorosłemu odbiorcy. Przedstawia przejmującą historię dziesięciorga osób (trzech kobiet i siedmiu mężczyzn). Bohaterowie to Żydzi i Polacy, uczniowie jednej klasy, początkowo przyjaciele. W okresie wojennym ich relacje nieco się zmieniają. Polacy – zmanipulowani przez okupantów – od tej pory nie wahają się bestialsko traktować dawnych kolegów; dopuszczają się gwałtu na koleżance, a nawet zabójstwa Żydów w stodole. Obraz II wojny światowej stał się pretekstem do oskarżenia Polaków o postawy rasistowskie i zwrócenie uwagi na to, kto był ofiarą, a kto katem w tamtym okresie. Dramatopisarz w *Naszej klasie* podważa zatem powszechny sąd o tym, że Polacy byli tylko ofiarami II wojny światowej. Słobodzianek zwraca uwagę głównie na kolaborantów i tych, którzy zabijali niewinnych dla własnego przetrwania. Chce wykazać, że niektórzy potrafią zadbać tylko o własną pozycję. Jedną z ofiar systemowych manipulacji jest ksiądz Heniek. Bohatera dręczą wyrzuty sumienia związane z czynami popełnionymi w młodości, w okresie wojennym. Można odczytać w tym zarzuty Słobodzianka odnoszące się do współczesnych kapłanów.

Spektakl stawia Polaków w bardzo złym świetle, przykładając wagę do bezkarności tych, którzy nie byli wierni ojczyźnie. Nasuwają się różne pytania, m.in. czym współcześnie jest patriotyzm i jak przejawia się wśród Polaków? W dramacie ukazane są raczej postawy antypatriotyczne. Słobodzianek „odgrzebuje” historię, aby obnażyć negatywne postępowanie Polaków w czasie

kryzysu. Obraz wojny został wykorzystany instrumentalnie, w celu ukazania współczesnych stereotypów i wad Polaków.

Tak konstrukcja akcji – inspirowana bolesnymi wydarzeniami z okresu II wojny światowej – wpływa bardzo silnie na odbiorcę, bo zwraca jego uwagę na kontrowersyjne tematy.

Współcześni artyści odwołują się do historii głównie po to, aby zabrać głos w dzisiejszej debacie publicznej, przez co często ich utwory są ahistoryczne. Może się wydawać, że Nasza klasa to chronologiczna opowieść o losach dziesięciorga uczniów z jednej klasy. To tylko pozory. Trzeba zaznaczyć, że obrazy wojenne w wybranym przeze mnie dramacie są zniekształcone, gdyż są tylko pewną wizją pisarza, który wyselekcjonował i połączył fakty minione ze współczesnymi, po to, by zabrać głos w debacie kulturowej na temat patriotyzmu, antysemityzmu i antyklerykalizmu.

Osobiście polecam zapoznanie się z treścią Naszej klasy ze względu na wykorzystany w niej motyw wojenny, stanowiący tło w opowieści o stereotypowych postawach człowieka. Na pewno czytanie tego dramatu stwarza przestrzeń do refleksji nad własnym podejściem do tematyki II wojny światowej.

MUZYKA LITURGICZNA. DOWÓD NA TO, ŻE JESTEŚMY W KOŚCIELE ŻEŃSKO-KATOLICKIM?

Tekst

Ks. Paweł Olewiński

Parafia rzymskokatolicka św. Jana Chrzciciela w Szczecinie,
współorganizator Szkoły Liturgicznego Animatora Muzycznego

W polskich kościołach często możemy zauważyć taki obraz: w niezbyt wypełnionej świątyni modlą się prawie same starsze kobiety, natomiast reprezentantami męskiej części Kościoła są: kapłan, ewentualnie ministranci i kilku starszych panów stojących najczęściej z tyłu. Tych ostatnich i tak w ogóle nie słyhać. W chórze (o ile w parafii jest) prawie same soprany i alty, organiści czy dyrygenci często z nie znajdują tenorów i basów.

SZKOŁA LITURGICZNEGO ANIMATORA MUZYCZNEGO 2014/2015

www.centrumformacji.eu

Gdy wyruszymy w „wewnątrzkościelną podróż międzypokoleniową” na spotkanie scholii czy duszpasterstwa młodzieży, tam też znajdziemy prawie same dziewczęta. Kościół rzymskokatolicki, który jeszcze do niedawna dla wielu jawił się jako ośrodek dominacji mężczyzn, wydaje się dzisiaj Kościołem żeńsko-katolickim. Obserwując chociażby życie naszej diecezji i naszych parafii, można odnieść wrażenie, że grupy związane z muzyką są wręcz katalizatorami procesu feminizacji Kościoła. Czy tak jest rzeczywiście? Czy Kościół, Eucharystia, śpiew liturgiczny nie są dla mężczyzn? Jakie znaczenie, w obliczu stale zmniejszającej się frekwencji na niedzielnej mszy świętej, ma dbałość o piękno liturgii? Czy może być ona zachętą do uczestnictwa w życiu Kościoła także dla panów?

Przedstawicielki płci pięknej mają większą zdolność percepcji wartości duchowych, estetycznych niż panowie. Są też bardziej związane ze sferą emocji, której dotyczą piękno liturgii, muzyka. Kobiety, pozornie kruche, mają jednak w sobie ogromny potencjał – wielkie pokłady odwagi. Stąd, wbrew pozorom, łatwiej zabrać się do wystąpienia publicznego paniom.

Ale przecież Pan Bóg nie kieruje swego orzędzia tylko do kobiet! Wszystkie narzędzia potrzebne do zbawienia (zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn) zawarte są w Kościele, którego źródłem i szczytem jest właśnie liturgia! Do czynnego udziału w niej zaproszeni są wszyscy, panowie też! Ponadto, głębsze przyjrzenie się tej sprawie pokazuje, że mężczyźni są potrzebni w Kościele. W dużej mierze po to, by od męskiej strony zadbać o liturgię, świątynię (naprawy

w kościele, pomoc przy konstruowaniu szopek, itd.), służyć do mszy świętej. Ale też okazuje się, że męska dusza posiada wielkie pokłady wrażliwości. Panowie, którzy odważą się włączyć w ubogacanie liturgii śpiewem, robią to zaskakująco dobrze. Słysząc ich zaangażowanie. Dlatego powinniśmy, z jednej strony cieszyć się, że fenomen kobiety tak bardzo ubogaca dzisiejszy Kościół, z drugiej jednak, pamiętać o wartości mężczyzn.

Dobrze, że w naszej diecezji powstaje coraz więcej inicjatyw mających na celu uczenie rozumienia Eucharystii, popularyzowanie muzyki liturgicznej. Mogą one być pomocą także dla panów w wejściu w świat liturgii. Pozwolę sobie wskazać jeden z takich projektów. Jest nim Szkoła Liturgicznego Animatora Muzycznego prowadzona przez Centrum Formacji Świeckich przy Wspólnocie Sióstr Uczennic Krzyża. Inicjatywa przeznaczona jest dla tych, którzy animują muzykę podczas liturgii bądź chcieliby tym się zająć lub po prostu są członkami chóru lub scholii. Szkoła (koedukacyjna) pomaga nie tylko osiągnąć wiedzę czy zdobyć umiejętności praktyczne, lecz także zrozumieć Eucharystię oraz rozbudzić w sobie ducha liturgii. Stąd, wydaje mi się, może być pomocą dla wszystkich, także dla panów do muzyczno-liturgicznej mobilizacji. Uformowani animatorzy mogą stać się też jednym z narzędzi Boga, by przez piękno liturgii, przyciągnąć do siebie tych nieobecnych, ludzi pozornie chłodnych, jednak tak naprawdę głodnych Boga. Być może właśnie Ciebie, Drogi Czytelniku, Bóg zaprasza do takiej posługi! Więcej informacji o Szkole na stronie internetowej: www.centrumformacji.eu.



Weź udział w nowej zabawie audycji „Religia na fali”. Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co z tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6:00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy: z duszpasterzem akademickimi o. Pawłem Chodakiem, dominikaninem o. Maciejem Biskupem i ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Można też wygrać nagrody książkowe. Wideorelacje, galerie zdjęć, zarchiwizowane audycje i informacje oraz archiwalne numery „Prosto z Mostu Młodzi...Ekumeniczni...Bóg...” na www.radioszczecin.pl/religia. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali>

Piotr Kołodziejski, Zapraszam!



www.radioszczecin.pl/religia

„WSZYSCY MAMY ŹLE W GŁOWACH, ŻE ŻYJEMY”

Tekst

Piotr Kołodziejski

parafia rzymskokatolicka

pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Sierpień 1997 rok, Bahrajn. Polscy siatkarze wygrywają z Brazylią 3:1 i zostają mistrzami świata. Kiedy 17 lat temu drużyna juniorów prowadzona przez Ireneusza Mazura sięgnęła po złoto, jej opiekun mówił: „Wierzę, że w przyszłości ci chłopcy odegrają w naszej siatkówce ważną rolę”.

21 września 2014 roku Ireneusz Mazur, już jako telewizyjny ekspert, ze wzruszeniem komentował sukces seniorskiej reprezentacji, która zwyciężając również z Brazylią i również 3:1, została mistrzem świata.

Przez te 17 lat w polskiej siatkówce wydarzyło się bardzo dużo, ale dwóch zawodników z mistrzowskiego składu juniorów świętowało triumf na polskim mundialu seniorów. Są nimi: Paweł Zagumny i Krzysztof Ignaczak, którzy zresztą zapowiedzieli zakończenie reprezentacyjnej, wspaniałej kariery.

Sukces juniorów w Bahrajnie niemal zbiegł się z początkiem występów biało-czerwonych w Lidze Światowej. To właśnie te elitarne rozgrywki były motorem napędowym dla polskiej siatkówki. Najlepsze zespoły na świecie, znakomita oprawa, którą od 1998 roku zaczął przygotowywać Grzegorz Kułaga, stworzyły klimat niesamowitego widowiska. Polacy pokochali siatkówkę. Kułaga wypatrzony na meczu Morza Bosman Szczecin, teraz tworzył show na meczach Polaków.

Publiczność była z zespołem na dobre i na złe. Świętowała historyczne na tamte czasy wygrane z Brazylią. Wciąż jednak przepowiednia trenera Mazura, który po sukcesie z juniorami przejął pierwszą reprezentację, nie sprawdzała się.

Ani on, ani kolejni polscy selekcjonerzy: Bosek, Wspaniały i Gościński, nie potrafili spełnić oczekiwań milionów kibiców i wykorzystać potencjału zdolnego pokolenia siatkarzy.

Wreszcie przyszedł Argentyńczyk Raul Lozano, by w drugim roku pracy z kadrą zdobyć z nią wicemistrzostwo świata. To był pierwszy po latach sukces,

który utwierdził wszystkich w przekonaniu, że mamy zdolnych siatkarzy. Za sukcesem reprezentacji poszedł wzrost poziomu sportowego polskich klubów. Kapitalne mecze, coraz więcej klasowych zawodników, również z zagranicy, świetnie opakowany produkt, jakim jest liga i na efekty nie trzeba było długo czekać. Ostatnie pięć lat to regularny udział naszych drużyn w Final Four Ligi Mistrzów, dziś nasza liga jest uznawana za jedną z najmocniejszych na świecie, obok takich jak rosyjska czy włoska.

Reprezentacja z kolei, pod przewodnictwem kolejnych zagranicznych trenerów, znów odnosiła sukcesy. Mistrzostwo Europy pod wodzą Argentyńczyka Daniela Castellaniego w 2009 roku, brąz na Starym Kontynencie w 2011 roku i historyczne zwycięstwo w Lidze Światowej w 2012 za kadencji Włocha Andrea Anastasio.

Wreszcie przyszła era Stephana Antigi. Kiedy działacze Polskiego Związku Piłki Siatkowej zdecydowali się postawić na 38-letniego Francuza, wielu ekspertów co najmniej nie dowierzało. Konsternacja, oburzenie towarzyszyły wtedy ludziom, którzy na siatkówce zjedli zęby. Kontrowersyjną decyzję prezesa Związku w pewnym stopniu równoważył asystent Antigi. Francuz Philippe Blain – uznany na światowym rynku trener, który z Trójkolorowymi był m.in. trzeci na świecie i drugi w Europie. Jak w roli pierwszego poradzi sobie człowiek, który jeszcze cztery miesiące przed polskim mundialem biegał w spodenkach jako zawodnik? Tego nikt nie był w stanie przewidzieć.

Jedno było pewne i to mógł przyznać każdy. Antiga był znakomity jako zawodnik i potrafił szukać porozumienia z ludźmi. To było potrzebne, by do kadry powrócił najlepszy polski atakujący – Mariusz Wlazły. Jak ważne to było posunięcie, pokazały potem mistrzostwa. Ale po kolei. Wcześniej Antiga pokazał też, że potrafi podejmować bezkompromisowe decyzje. Rezygnacja z Bartosza Kurka przed mistrzostwami była szokiem dla kibiców i trenerów. Ikona polskiej siatkówki nie zagra na mundialu. To było coś niewyobrażalnego. Antiga wiedział jednak, co robi.

Francuska siatkówka to położenie nacisku na technikę, obronę i atak z wykorzystaniem bloku przeciwnika. Do tego duet trenerski Antiga-Blain bardzo mocno postawił na technicznego „floata”, czyli zagrywkę szybującą, czy to z wysoku, czy z miejsca, która ułatwia kontrolę nad piłką i pozwala precyzyjnie wybrać miejsce, w które zawodnik posyła piłkę.

Świetnie charakterologicznie dobrany skład, w którym nie zawsze muszą grać największe gwiazdy i do tego Mateusz Mika. Blain wiedział, że to nietuzinkowy siatkarz, bo grał w jego francuskim Montpellier UC. Powołanie tego chłopaka

okazało się strzałem w dziesiątkę. Imponował w całym turnieju, a w finale zagrał mecz życia.

Ponad 60 tysięcy kibiców na Stadionie Narodowym na meczu otwarcia polskiego mundialu i wygrana biało-czerwonych z Serbią 3:0. Rozpoczęcie jak marzenie. Polska w morderczym turnieju wygrała 12 na 13 rozegranych meczów. Dziś jest najlepszą drużyną na świecie i na pewno nie są to słowa na kredyt. Piekalnie trudna drabinka, po której trzeba było wspinać się do wymarzonego finału. Na przeszkodzie: Włochy, Francja, USA, Rosja, Brazylia. Cztery mecze wygrane w tie-breakach jeszcze bardziej wzmocniły psychicznie zespół. To był bajeczny dla Polski mundial. Bezbłędny w swoich decyzjach był Antiga. Nawet kiedy wprawiał niektórych w irytację, gdy stawał na, momentami zagubionego, środkowego Nowakowskiego. Jak się okazało, miał w tym swój plan. Znał zawodnika i wiedział, że musi do końca wierzyć w jego przełamanie. Opłaciło się. W najważniejszych meczach Piotr Nowakowski rzadko mylił się na siatce.

Możliwość rotowania składem bez straty jakości w grze to był wielki atut drużyny. Nawet, kiedy wchodził trzeci czy czwarty rezerwowi, to tylko po to, żeby coś poprawić w grze polskiej drużyny.

Ten turniej to narodziny nowego rozgrywającego Fabiana Drzyzgi. Nikt nie okazał mu dotąd tyle zaufania, co Antiga i dziś ze spokojem możemy patrzeć na tę pozycję w najbliższych latach. 24-letni Drzyzga zastąpi kończącego reprezentacyjną karierę Pawła Zagumnego. Świetne mecze Fabiana na tym mundialu i kropka nad „i”, którą w finale postawił Zagumny, pokazały, jak

Hymny przed finałowym meczem w katowickim Spodku. Fot. Maciej Kisiel



znakomicie uzupełniał się ten duet. Rutyna i doświadczenie popularnego „Gumy” okazały się bezcenne w finale.

Antiga od razu znalazł wspólny język z drużyną, imponował spokojem podczas meczów niczym stary rutyniarz. Tam była i jest „chemia” z zespołem. Trener znakomicie czytał grę i świetnie „wyczuwał” zespół. Wielką mądrość wykazuje przy tym Blain, który mimo wielkiej siatkarskiej wiedzy nie narzucał swojego zdania w trakcie meczów. Czasem sam Antiga ustępował starszemu koledze, by mógł przekazać swoje uwagi. To działa jak perfekcyjny układ. W sam raz na złoty medal.

Bardzo ważną rolę w tym sprawnym mechanizmie, który nie miał prawa zaciąć się na tym mundialu, odgrywali kibice i wspomniany wyżej Grzegorz Kułaga. Oprawa meczów, którą prowadził wraz z Markiem Magierą, miała niebagatelne znaczenie. Muzyka, przy której bawili się kibice, była dobrana perfekcyjnie pod sytuację na parkiecie. Powtarzające się słowa „Wszyscy mamy źle w głowach, że żyjemy” nie były, jak sądzę, przypadkowe. Ten fragment z piosenki Elektrycznych Gitar „Dzieci” można interpretować jako wyraz młodzieńczego buntu, szaleństwa, ale też czegoś zwariowanego. Tak zwariowanego, jak wygrana Polaków z mistrzem olimpijskim Rosją, wtedy jeszcze mistrzem świata Brazylią czy medal na MŚ. Może i mamy w głowach źle, że żyjemy, ale idziemy po zwycięstwo. Przynajmniej ja odebrałem tak ten zabieg. Wielokrotne powtórzenie tych słów, określona muzyka mogły wprowadzić w pewien trans. Oczywiście nic nie byłoby możliwe, gdyby nie znakomita gra siatkarzy. Inne słowa, tym razem Golców, „Tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco” nie wymagają komentarza.

Polska drużyna nie pękła na tym mundialu. Zagrała tak, jak marzyliśmy od wielu lat i jak wierzyliśmy, że potrafi zagrać. Teraz już nie tylko wierzymy i marzymy, lecz także wiemy. Wie to cały świat.

Część zawodników, na czele z Mariuszem Wlazłym, zapowiedziało zakończenie reprezentacyjnej kariery. Patrząc na atmosferę wokół polskiej męskiej siatkówki, przyjazne nastawianie polskich trenerów i ekspertów do zagranicznych szkoleniowców naszej reprezentacji (nie w każdym polskim związku sportowym to takie normalne), szkolenie młodzieży, poziom ligi; ja nie boję się o przyszłość. Może mamy źle w głowach, że żyjemy, ale tu jest i będzie San Francisco.

PIESZO PRZEZ EUROPEĘ DO BRUKSELI

Tekst
Roman Zięba

12 lipca 2014 roku, we wspomnienie św. Benedykta – głównego patrona Europy, trzech Polaków wyruszyło pieszo na trzy samotne szlaki. Grzegorz wyszedł z polskiego Głogowca (miejsca urodzin św. Faustyny), Roman z Knock w Irlandii, a Wojtek z Monte Cassino, gdzie benedyktyni poświęcili mu ikonę św. Benedykta, dar Ukraińców. Modlili się nogami o powrót Europy do wspólnego fundamentu chrześcijańskich wartości. Nie mieli finansowego zabezpieczenia ani zaplanowanych noclegów. Przez 8 tygodni każdy pokonał około dwóch tysięcy kilometrów. Po dwóch miesiącach spotkali się w Brukseli, gdzie przez ręce polskich postów przekazali ikonę Parlamentowi Europejskiemu.

Droga Romana prowadziła przez Belfast, Manchester, Londyn, Dover i Calais. Poniższy tekst został przepisany z dziennika, jaki prowadził w drodze.

Wojtek jest Polakiem, od 10 lat mieszka w Londynie. Ukończył teologię na KUL-u, a potem filozofię już tutaj, na Uniwersytecie Londyńskim. Pracuje jako świecki kapelan marynarzy w Porcie Tilbury, zatrudniony przez Episkopat Anglii w Apostolstwo of the Sea Stella Maris (Apostolstwo Morza Stella Maris). Dostaję od niego swój kask ochronny i kamizelkę, Wojtek zabiera mnie na statki, pokazuje swoją pracę wśród marynarzy różnych bander, języków i religii. Odwiedzamy gigantyczny kontenerowiec z Birmy i rorowiec z polsko-ukraińsko-filipińską załogą.

– Tutaj trzeba bardziej być po prostu człowiekiem, wsłuchanym i wyczulonym na problemy i potrzeby drugiego człowieka. Ewangelizacja odbywa się przy okazji, choć przecież o Boga tu cały czas chodzi. Ale On działa też przez okazywanie serca temu kto jest w potrzebie.

Wojtek rozwozi marynarzom karty telefoniczne i do Internetu, pomaga w zakupach, formalnościach, nagłych sprawach, gdy potrzeba konsula albo prawnika. Jest na miejscu gdy trzeba duchowej posługi, pocieszenia, albo zwyczajnej rozmowy. Wręcza obrazki i broszury z Dobrą Nowiną.

– Cieszę się gdy mogę porozmawiać z kimś o Bogu, ale nie mogę się narzucać. Załogi są mieszane. Często Chorwaci dzielą miesiącami jeden pokład z Serbami, Ukraińcy z Rosjanami. Morze stawia wszystkich wobec swojej potęgi i zmienności. Marynarz wie, że wobec żywiołu często niewiele od niego zależy.

Wojtek niedawno się ożenił. Razem z żoną, Milą, dają mi nocleg w swoim małym mieszkaniu w centrum Londynu i mimo protestów, kupują wszystko, co mi potrzebne na drogę. W niedzielę Mila ma dyżur w szpitalu, wychodzimy więc we dwóch na mszę do katolickiej katedry, a potem Wojtek oprowadza mnie po mieście.

Westminster Abbey w Londynie jest dla Anglików tym, czym dla nas Wawel. Tu spoczywają królowie, poeci, Darwin i Newton, tutaj koronuje się królów. Kiedyś było to potężne opactwo Benedyktynów, dziś jest to główna świątynia Kościoła anglikańskiego. W latach 90. dokonano renowacji frontu kościoła i umieszczono nad portalem rząd dziesięciu figur przedstawiających największych męczenników chrześcijaństwa XX wieku.

Ku mojemu zdziwieniu, rząd świętych męczenników otwiera święty Maksymilian Kolbe. Od Mili wiem, że wybierając osoby do tego panteonu, anglikanie byli bardzo „picky” – staranni i drobiazgowi. Obok niego Martin Luther King, biskup Romero z Nikaragui, Dietrich Bonhoeffer – niemiecki pastor zamęczony przez hitlerowców tuż przed końcem wojny.

Kult świętych to forma dewocji mało popularna w kościołach protestanckich, podobnie jak pielgrzymowanie i ikony. Gdy stajemy z Wojtkiem przed okazałym frontem potężnej świątyni akurat otwierane są drzwi – za chwilę odbędą się anglikańskie nieszpory. Turyści są proszeni o nie wchodzenie do środka. Na skierowane do nas w przejściu pytanie odpowiadamy zgodnie: – Prayer (modlitwa).

Wewnątrz kolejne zaskoczenie. Witają nas bowiem dwie wielkie ikony – zgodnie ze Wschodnim porządkiem: po lewej od wejścia Matka Boska Hodegetria, a po prawej Chrystus Pantokrator. Ikony są z pewnością kanoniczne, poznaję świetny warsztat, może dar prawosławnych?

Nie ma czasu się przyglądać, zaraz rozpoczynają się nieszpory.

Modlitwa ma bardzo podniosły charakter, początek na stojąco, dużo śpiewu. Liturgia często odnosi się w pięknych słowach do Matki Bożej. Potem następuje homilia pastora. I tu znowu zaskoczenie, bo tematem kazania jest „Czarna Madonna”. To, co słyszymy z ust protestanckiego pastora daje wyraźnie odczuć, że zbliżenie anglikanów i katolików, to proces realnie zachodzący w przestrzeni Kościoła.

Po wyjściu z katedry widzę pastora żegnającego się z wiernymi. Czekam na odpowiedni moment i w końcu podchodzę żeby krótko przedstawić ideę pielgrzymki. Pastor słucha mocno zaciekawiony. Podaję mu adres strony i mój mail z prośbą o przesłanie mi tekstu homilii o Czarnej Madonnie. Jesteśmy we



Fot. Archiwum prywatne

trzech mocno poruszeni tym spotkaniem. Na pożegnanie pastor z uśmiechem mówi:

– Ta nasza rozmowa była jak modlitwa.

Nazajutrz dostaję e-maila:

Drogi Romanie,

Dobrze było cię spotkać i posłuchać o twojej pielgrzymce.

Załączam tekst homilii.

Jestem z tobą w modlitwie, w twoim dalszym pielgrzymowaniu. Proszę módl się za nas.

Z błogosławieństwem

Tony Kyriakides

Chaplain, Westminster Abbey



Od lewej: Leszek,
Grzegorz, Roman,
Wojtek.
Fot. Archiwum
prywatne



Kolegiata św. Piotra
w Westminsterze
w londyńskim City.
Fot. Archiwum
prywatne